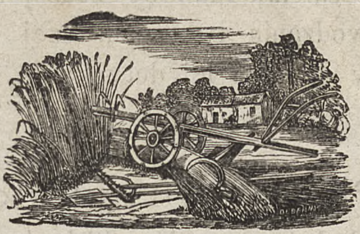
Tom II. 21. Grudnia 1870. Nr. 18

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kochani Czytelnicy!

Z tym oto numerem kończy się tom II. a oraz i rok cały Dzwonka. Miło nam, jeżeli pożytek jaki dla Was urósł z tego pisma, jeżeli Was Dzwonek zabawił i rozerwał po pracy, boć to całą naszą nagrodą. Znacie nas dobrze kochani czytelnicy, wszak to już jedynaście lat Dzwonek dzwoni Wam w dobrej i złej chwili. I nadal go wydawać będziemy, tak samo jak dotąd, nie zmieniając czasu wychodzenia, ani ceny.

Staramy się, aby można i z tego co się w świecie dzieje, co o wojnie słychać, dawać Wam wiadomości; ale na to trzeba jako porękę złożyć rządowi grube pieniądze, tak zwaną kaucję, a nasz Dzwonek za ubogi na to; podaliśmy więc prośbę i staramy się aby to bez tej kaucji Wam pisać. Jak skoro pozwolenie dostaniemy, natychmiast zaczniemy Wam o wypadkach w świecie donosić.

Do tego numeru dołączamy Wam przyobiecany obrazek malowany i książeczkę. Niech to Wam służy jako kolenda i pamiątka od Dzwonka. Życzymy Wam, jak zawsze, tak i teraz świąt wesołych, i szczęśliwego nowego roku. A gdy na gwiazdkę zasiądziecie i przy wesołej kolędzie i śpiewce wzajemnie sobie życzyć będziecie, pomnijcie też na przyjacieli

Waszych pisarzów Dzwonka, którzy w tejże chwili Wam, kochani czytelnicy, i całemu ludkowi naszej ukochanej Polskiej ziemi lepszego powodzenia i szczęśliwszej doli życzyć będą. Może Bóg litościwy da nam jej doczekać!

Piękny przykład.

Pisanie Józefa z Bochni o parafii w Biskupicach pod Wieliczką.

Mówię wam, panie pisarzu, że serce raduje się człowiekowi, gdy usłyszy lub zobaczy, jak to gdzieniegdzie pięknie żyją ludziska, i zaraz pragnie podzielić się tą radością z drugimi, aby i oni tak samo robili, bo jak myślę, nic tak człeka nie buduje jak piękny przykład. Tak rzecz pojmuję i ucieszyłem, się bardzo, gdy byłem w Biskupicach. Leżą one na wyniosłej górze za Wieliczką, o ćwierć mili od gościńca wiodącego przez Gdów do Bochni. Ale też to rozkosz bierze, jaki z tamtąd cudny widok. Kto wejdzie na tę górę, musi się zachwycić! a pewien pan tak opisał widok z tej góry:

W szerokiem kole, jak sięgnie oko,
Zobaczysz Kraków, Bielany;
Wisłę, co toczy długo, szeroko
Srebrno modrawe bałwany.
U stóp Wieliczka, ten skarbiec soli,
Niepołomice z lasami,
Niegdyś — wśród naszej szczęśliwszej doli —
Sławne Kaźmierzów łowami.
Ujrzysz Staniątki i mnóstwo wiosek
Rozsianych w Wisły dolinie;
Gdyś w Biskupicach, łatwy ztąd wniosek,
Że pamięć o nich nie zginie.

Byłem tam właśnie w niedzielę. Widok z góry był jeszcze tem piękniejszy, bo ze wszystkich stron cisnęły się gromady ludzi. Można było ubawić oko. Mężczyzni i kobiety byli czysto i bielutko ubrani; każde niemal miało książkę pod pachą, a brudasa i obdartucha nie było ani na lekarstwo. Stanąłem i myślę sobie:

— Mój Boże! jakby to było pięknie, żeby tak było wszędzie! A ludzi schodzi się coraz więcej, wszyscy jacyś weseli i spo-

kojni, witają się grzecznie ze sobą i wchodzą do kościoła, inni siadają obok kościoła, bo wnet brakło w nim miejsca, choć wielki i obszerny.

Wtem zagrały organy. Wchodzą ludzie do kościoła, a tu jakby nabił. Jedni ludzie czytają na książkach, inni śpiewają z pokorą i prawdziwem nabożeństwem, co jakiem obaczył, to mi łzy stanęły w oczach. I mówię prawdziwie, że nawet grzesznik zapamiętały, gdyby wszedł między takich ludzi, mimowoli złożyłby ręce i modlił się najgoręcej.

W kościele jak w pudełku. Wszystko czyściutkie i schludne; obrazy dobrej roboty a wszystko na swojem miejscu. Organista gra przyjemnie, że się odsłuchać nie można, widać, że się zna na muzyce. Kiedy kazanie, wszystko słucha a nie drzemie, jak to często bywa, i dobrze zważa na słowa każącego kapłana. A i dzieci tam nie brakowało, a każde przyzwoite, nie ogląda się i nie śmieje, ale przykładnie czyta, klęczy lub stoi, dowód więc najlepszy, że są dobrze prowadzone.

Kiedym po nabożeństwie wyszedł z kościoła, pytałem się ludzi, czy w tej wiosce jest szkoła?

— Ot jest tu zaraz za kościołem — powiedział grzecznie jeden z gospodarzy.

— A jak ją chcecie widzieć — dodał drugi — to was zaprowadzę. I poszliśmy obaj, a ja się aż zadziwiłem, że na wsi taka porządna szkoła.

Weszliśmy do środka. Zastałem pana nauczyciela, który przed chwilą grał w kościele na organach. Przywitał nas bardzo mile i okazał wielką radość.

— Może chcecie widzieć szkołę? — zapytał grzecznie.

Proszę bardzo, jeżeli Pan pozwoli odrzekłem ujęty grzecznością.

Zaprowadził nas na drugą stronę i pokazał jak wszystko w wielkim ładzie i porządku, a potem zaprowadził nas do biblijoteczki szkolnej i pokazał wiele książek.

— A czytają też ludzie w tej tu wiosce? — zapytałem ciekawie.

— O czytają z wielką ochotę — odrzekł nauczyciel — i pożyczają sobie do domu.

— A to pięknie! — powiedziałem. — A dzieci pilnie chodzą do szkoły?

— Bardzo pilnie — odparł nauczyciel — uczą się pięknie, bo ich rodzice nie odwodzą od nauki i nawet z dala regularnie posyłają je do szkoły. Dla tego też dzieciom wyprawiamy co rok uciechy w maju. Mnie zawsze gmina rzetelnie płaci, nigdy nie potrzebuję się prosić... I tu dopiero jął mi opowiadać, jaki to w Biskupicach ludek chętny szkole, jak rad słucha dzieci, gdy wdomu opowiadają lub czytają z książek, jak gospodarze pracują ochoczo w polu, jak niektórzy chodują pszczoły, jak pięknie chowają konie, że nawet zato otrzymują nagrody, jak pięknie i starannie utrzymują sady, to też nie dziw, gdy jeden gospodarz rocznie zbierze za owoc 225 złr. jak tego dowody są z tego roku.

Na te słowa stanęła mi łza radości i znowu sobie pomyślałem:

— Mój Boże! Czemu to tak nie wszędzie? Gdyby ludzie tak się trzymali jak w Biskupicach, niezawodnie wkrótce inaczej byłoby między nami!

I w Biskupicach będzie jeszcze lepiej, gdy ludzie wytrwają i będą tak postępować dalej.

Potem rozpatrzyłem się jeszcze w tem i owem i z bardzo miłem wspomnieniem opuściłem tą wioskę.

Wam zaś donoszę o tem, panie pisarzu, abyście i wy wiedzieli, jacy to są gdzieniegdzie u nas ludzie, i dali o nich wiadomość drugim dla zachęty.

Józef z Bochni.

Przednowek skończony

Już się dym z chaty wzniesie czasem z rana,
Już się i śpiewka zdawna niesłyszana
Ozwie czasami po ścierni i rosie,
I wyszła wdowa biedna na pokłosie.

Miła ta ścieszka, co kręto prowadzi
I na podwórka i na wiejskie sady
I miło sercu że biednej czeladzi
Nowy chleb dodał tak od razu rady!

Niedawno jeszcze była cisza głucha
Jakby żywego nie było tu ducha,
Dziś ruch po chatach i nowa ochota
I w każdym kącie życie i robota!

O żniwo! żniwo! nadzieja nie marna!
Już i cep bije, i szumią już żarna,
I pierwsza rozkosz najpierwszego żniwa
Ten ranny zapach wiejskiego pieczywa.

Między półkopki pasie się już krówka,
Przybyło mleka — to i dziatwa drobna
Znowu na przyzbie wesoła jak mrówka
I macierz nędzna już nie tak żałobna...

Lecz żywy obraz Opatrzności Boskiej,
Wieczna ta wdowa, co tam zbiera kłoski
Co po tej ścierni powoli tam kroczy
I często zwraca ku Niebu swe oczy.

Wincenty Pol.

Jan Ryś.

Aż się mi serce raduje, że wam panie pisarzu mogę, donieść rzecz bardzo piękną. Jest koło Babiej Góry, wysokiej przeszło 5.000 stop, niedaleko Jordanowa, wieś Toporzysko. W tej wsi żył sobie uczciwie i przykładnie zagrodnik Jan Ryś, którego śmierć 14. listopada zebrała z tego świata. Był ci to człowiek sprawiedliwy aż miło, nie bitnik albo pijak; nabożny jak rzadko, a przytem szanował cudzą własność i lubił bardzo rozmawiać o nauce i szkole, chociaż sam ani czytać ani pisać nie umiał. Ciągle marzył, żeby mógł co zrobić dla oświaty, i Bóg pozwolił mu dopełnić zamiaru swego przy końcu żywota.

W 1846 roku rabowali chłopi w okolicy Babiej Góry, lecz Jan Ryś z kilkoma innymi włościanami nie przyłożył ręki do tego okrutnego dzieła. Sam jeden ze wsi z narażeniem swego życia bronił dworu od napaści i grabieży i on tylko ochronił wiele rzeczy od zniszczenia i rabunku. To też gdy nastał czas spokojny, uwolniono Rysia od wszelkich powinności przez wdzięczność za wielkie zasługi, jakie położył względem

dworu. Pracą i oszczędnością przychodził do grosza, lecz go nigdy marnie nie obrócił, lecz chował go na przyszłość. Z końcem października bieżącego roku zasłabł ciężko, przyjął więc SS. Sakramenta, poczem zaprosił do siebie pana Awita Wilkoszewskiego i podyktował mu testament tj. ostatnią wolę w obecności wielu gospodarzy. Zapisał swojej żonie w dożywocie rolę, dwa zaś kawałki z niej przeznaczył wychowanicy żony, także w dożywocie i dodał jej oblig indemnizacyjny na 200 złr.

— Gdy zaś pomrą obie te kobiety — mówił Ryś — rola, którą posiadały, ma iść na szkołę, która na tej samej roli ma być wystawioną. Na ten cel przeznaczam również oblig indemnizacyjny w sumie 1.000 złr: aby szkoła koniecznie była w naszej wiosce.

Dalej ofiarował 300 złr. na wystawienie kapliczki na jego roli, a 100 złr. na potrzeby, gdyby wymagała naprawy. Myślałby niejeden, że Ryś tyle tylko miał pieniędzy. Nie, miał on ich więcej i pożyczał je ludziom w rozmaitych potrzebach, a nie brał najmniejszego od nich procentu, bo tego był zdania, że człowiek wtedy pożycza, gdy go przyciska konieczność, a z trudnością przychodzi mu zapłacenie długu — zkądże jeszcze weźmie procent? To już dla niego uszczerbek wielki.

Owoż wszystkie rozpożyczone pieniądze przeznaczył na najuboższy kościół w Krakowie z tym warunkiem, żeby się w nim odprawiało nabożeństwo za jego duszę. Oddawszy do rąk pana Awita Wilkoszewskiego różne papiery, dowody i obligi indemnizacyjne, prosił go, aby należycie wypełniono ostatnią jego wolę.

Pan Wilkoszewski przyjął chętnie ten obowiązek i ogłosił w gazetach o pięknym czynie Jana Rysia, aby sobie inni brali przykład i w końcu dodał:

— Człowiek ten nie umiał czytać i pisać, ale pojmował potrzebę nauki, a miłował ojczyznę, jako prawy jej syn...

Oby Bóg z łaskawości swojej więcej dał nam podobrych ludzi! *Józef z Bochni.*

Król Władysław Łokietek.

Niejeden narzeka, że mu się źle powadzi, że go nieprzyjaciele prześladują, przytem tyle ma frasunku, że nie ma nawet nocy spokojnej. I tak z dnia na dzień rozwodzi swe żale przed sąsiadami, a nie wezwie Pana Boga na pomoc, nie pomyśli, jakimby sposobem podołać złemu, przezwyciężyć je pracą wytrwałą, a w końcu powiedzieć sobie: tak być musi. Zamiast tego, patrzy ze zazdrością na ludzi bogatych i zamożnych, wzdycha do szczęścia a może nieraz pomyśli sobie: nie ma to jak cesarz albo królewie, opływają we wszystko, nie troszczą się o nic, słowem są najszczęśliwszymi na świecie. Gruba pomyliłby się ten, ktoby tak myślał, gdyż trafiają i trafiały się przypadki, że królowie znosili prześladowania, biedę i wszielkie niedostatki, a nawet od ludu wieśniaczego doznawali wsparcia, pomocy i opieki. O takim królu opowiem wam dla przykładu.

Jest temu sześćset lat blisko, jak żył na świecie król wzrostu nizkiego ale wielkiego ducha; niejeden z was czytał już o nim; był on naszym polskim królem, a nazywał się Władysław Łokietek. To nazwisko „Łokietek“ przydano mu jeszcze za młodu dla małego wzrostu, jak się to zwykle między ludźmi dzieje, że sobie coś na kim upatrzą, to wejdzie w zwyczaj i na zawsze zostanie. — Otóż ten Władysław Łokietek miał objąć rządy w Polsce po śmierci swego brata Leszka Czarnego, jednak mieszczanie krakowscy, po większej części Niemcy, nie sprzyjali Władysławowi, ale zaprosili potajemnie Henryka Probusa, zniemczałego krewnego nieboszyka króla Leszka; wpuścili w nocy niemieckich żołdaków do Krakowa, i chociaż król Władysław z wojskiem polskiem mężnie się stawiał przybyszom, musiał jednak uledz przemocy i zdradzie. Niemcom zaś chodziło tylko o to, aby naszego Władysława pojmać, żeby nie zawadzał Henrykowi; to też ścigany Władysław ukrył się w klasztorze Franciszkanów, zkąd przebrany za mnicha spuścił się z muru po sznurze i szczęśliwie dostał się do dóbr swoich.

Sześć lat rządził Henryk jak szara gęś w Krakowie, a po nim nastąpił Przemysław, którego Niemcy wkrótce zdradziecko

zamordowali. Teraz myślał Władysław, że będzie mógł po śmierci swego krewnego rządzić swoim ludem. Ale niestety! ci sami Niemcy, którzy dopomogli Henrykowi w zajęciu Krakowa, wpuścili znowu króla czeskiego Wacława z jego wojskiem do miasta. Jakim był ten król dla Polaków, to sobie wyobrazicie, gdy wam wspomnę, że to ten sam Wacław, co swego brata świętego Jana z Bolesławca kazał utopić w Mołdawie, jak to stoi w pieśni o tym świętym Janie, przypomnijcie sobie tylko.



Król Władysław Łokietek.

Nie lepszem było i żołdactwo tego Wacława; rabowali, niszczyli, co tylko mogli. Tego poczciwy nasz Władysław nie mógł znosić obojętnie. Zgromadził więc swoje wojska i chciał wypędzić z kraju nieproszonych gości. Jednak mu się nie poszczęściło, ale, co gorsza jeszcze! schwytano naszego Władysława i wsadzono do więzienia. Smutno było i boleśnie naszemu dobremu ludkowi, że jego ojciec, król i opiekun musi tyle

cierpieć. Ale rady nie było — bo czeskiego żołnierstwa nalazło jeszcze więcej. — Jednak miłość prawdziwa i przywiązanie do swego króla podała dobrą myśl włościanom z Wiślicy, która to wioska leży blisko Krakowa. Z tej to wioski wybrało się kilkanaście dziewcząt doradnych, przybyły pod więzienie, w którem siedział król Władysław, i nuż wdzięczyć się do żołnierzy czeskich, stojących na straży. Trudna była z początku sprawa z nimi, ale pochlebnemi słówkami, umizganiami a wreszcie mocnym trunkiem tak potrafiły obałamucić tych wartowników, że im broń swoją oddali. Wtenczas nie trudnem już było powziązać ich jak baranów — i swego kochanego króla wydobyć z więzienia. — Co to potrafi człowiek słaby, jeżeli tylko miłość prawdziwa kieruje jego czynami. — Uwolniony takim sposobem Władysław Łokietek tułał się w zimowej porze po lasach, doznając wsparcia od kochających go włościan.

Ale nie widząc już ratunku w pomocy ludzkiej — udał się o nią do Pana Boga. — Jako pielgrzym poszedł do Rzymu, gdzie przyjął błogosławieństwo od Ojca świętego, prosząc tamże Króla nad Królami o zmiłowanie nad nieszczęśliwym narodem swoim. I wysłuchał też Pan Bóg jego modlitwy, bo wkrótce król czeski umarł, a Władysław zebrawszy wiernych sobie, wypędził jego wojsko z całego kraju. Dał się też potem w znaki Niemcom, Krzyżakom, od których pochodzą teraźniejsze Prusaki, jak to wam wiadomo.

Uprzątnąwszy śmiecie w domu, pomyślał ten dzielny król o z jednaniu dla Polski przyjaciół Litwinów, co uskutecznił przez ożenienie swego syna Kazimierza Wielkiego z Aldoną, córką Gedymina, księcia Litewskiego. Otóż widzicie moi kochani bracia, jakie to nieszczęścia i kłopoty ponosił ten nasz król Władysław Łokietek, a to wszystko z miłości dla ludu swojego i swojej Ojczyzny. *M. S.*

Urlopnik.

(Dokończenie.)

Wojciech.

Słusznie mówisz Marcinie! dopóki nie będzie wiary i miłości między nami, dopóty zostaniemy ciemnymi i źle będzie w Ojczyźnie.

Wystąpienie 13te.

Wojciech, Zosia, Staś, Marysia, Marcin, Janek i Katarzyna.

Janek (w kaszkiecie wojskowym),

Gut morgen! wigec? panie Adalbert — (do Zosi) jak się oni miewają frailain Zofi? (chce ją uszczypnąć w policzki).

Zosia (odpycha go)

Cóż to na powitanie nazywasz mnie jakby nieprzymierzając jaką żydowicę.

Janek.

O nain mój hercku, to po waszeszemu po polsku znaczy holt tyle co panna.

Zosia.

A toć ty wołasz na mnie kiejby na żyda herszku!

Janek.

To się znaczy: moje serce, com je holt z dalekich landów z Holsztainu przyniosł pod kabatem dla Ciebie.

Zosia.

Mówże przecie do mnie po ludzku, nie tak jak włoczęga jakiś i przybłęda trochę po żydowsku, a trochę po czesku. Jać przecie Polka i twojej głupiej mowy nie rozumiem.

Janek (zwraca się do Stasia i Marysi).

A toć te śpicbuby powyrastały na kerlów — No cóż mi się tak przypatrujesz du klain? Podoba ci się mój kabat? Oj dostaniesz i ty kiedyś taki klaidung, będziesz nosił śliwowany giwer, brucok i tajstrę będziesz chodził na muśtrung, mieszkał w kasarni z kamratami, będziesz spał na śtrużoku i łańtuchu, pod głowę dostaniesz kopustrok, a przykryjesz się deką. (Chce go pokręcić za ucho — ale Staś się cofa). Oj ale kapralem to saperment przenigdy nie sostaniesz.

Staś.

Toć to nie wielka rzecz taki jak ty kapral nie umiesz ani po polsku, ani po niemiecku ani po żydowsku tylko mówisz jakimś łatanym językiem, jeszcze gorzej jak ci, co to z katarynką włóczą się po miastach. Ja tam niedługo pójdę do szkół łacińskich do Tarnowa — to i po niemiecku umiem — ale nie mowię bom między swoimi a nie pomiędzy Niemcami. Przecież to każdemu Polakowi polska mowa najmilsza, bo go tej mowy matusia wyuczyli.

Janek.

Du ezel, z kądbyś ty umiał po niemiecki, ja to was anders, ja bylem sem w Daiczlandzie — o! tam je lustig leben, ale nie tu.

Staś (rozgniewany).

Co mnie macie nazywać osłem! mnie tak pan profesor nie mówi, chociaż jest tysiąc razy mądrzejszy od was. A kiedy wam się niemieckie kraje podobają, to idzcie tam napowrót zkądeście przyszli! (do Marysi) Pójdź Marysiu do ogródka od tego gacka. (odchodzą).

Wystąpienie 14te.

Ciż — oprócz Stasia i Marysi.

Wojciech (z uśmiechem).

Widzisz Janku, takie dziecko wyśmiało cię z twoją mową. On się uczy po niemiecku, bo myślę go posłać do Tarnowa — może mi Pan Bóg pozwoli doczekać się z niego pociechy. — Ale ty zostaniesz między swymi, to daj spokój z tą dziwaczną gadaniną.

Janek (do siebie)

Dume kerls nie znają, co sem znaczy daicz śprechen!

Marcin (chce uściskać Janka).

A ze mną to się nie przywitasz Janku?

Janek (odpycha go)

Pric, ja sem z cywilami nie powinien gadać — jaki mi kamrat w zgrzebnym kabacie!

Marcin.

Ej! Janku, przecieżeśmy razem konie pasali, razem drużbowali, to i czemuż masz się mnie wsztydzić; a płóciankę i ty wdziejesz, bo ci się te piszczałeczki (pokazując na jego rękawy) wnet rozlizą, i znów będziesz, bo byłeś naszym.

Janek.

Proszę mnie nie kuuirować, ja jestem holt pan kapral, cesarskie dziecko.

Katarzyna.

Cóż ty plecież Janku; przecież ty moje dziecko, a nie cesarskie: ja cię wypieściła i wychowała, a dopiero cię dużego wzięli do wojska. — A co ja się za tobą napłakała!

Wojciech.

Jakieś ty Janku mógł zostać kapralem, kiedy nie umiesz ani czytać ani pisać?

Janek.

Otóż to sem tak bylo. Kiedyśmy się pod Kenigrec fechtowali z tymi Praisami, wtenczas wszystko siarsia, to je aficery i unteraficery poginęli, bo ferfluchten Praizen bardzo pluli na nas z gewerów, co się igielniczkami nazywają. — Ale ja nie mial furchtu, a bylem na flonku tj. z kraju, a widząc, że cali batalion nie zna, co dzialać — zlapalem szablu, i stanąłem na front, i jak krzyknę: „Gance batalion! marsch, marsz! faier! — tak wsztkie muże za mną. O tem dowiedzial się pan Benedyk, ten anfirer, co komendirowal całą trupą chciał mnie zaraz zrobić oficerem — ale ja sem nie chcial tylko mnie przezwal: Jochan S'perling Korporal.

Zosia (do siebie załamując ręce).

To on pewnie żydem został!

Katarzyna.

Jakiś ty Janku przecie głupi! byłbyś sobie panem, ożeniłbyś się z córką jakiego oficyra, a teraz musisz harować jak dawniej!

Wystąpienie 15te.

Ciż — Staś i Marysia (wbiegają).

Staś i Marysia (razem mówią)

Zosiu! Zosiu! twoje kogutki tak się biją okrótnie!

Staś.

Ten płowy uciekł przed tym czerwonym (na stronie) A wiesz że ten płowy podobniusieńki do tego głupiego J . . . .

Zosia.

Idźże, smarkaczu, — zkąd Ci przyszło do głowy, że podobny.

Staś.

Bo tak uciekał przed czerwonym, jak on przed prusakami.

Janek.

Co ty tam o Prajsach mówisz? Myślisz, że taka była bitka z Prajsami, jak między kogutami — to słuchaj tylko się nie fichtoj — bo to strasznie.

Kiedy przyjdzie do ataku
Tysiąc armat strasznie jęknie,
Lecze się wojak nie ulęknie,
I nie schowa się do krzaku.
Hura! hura! na Prusa!
Niech cudzego nie rusa!
Marsz! marsz! marsz!

Karabiny gradem sypną,
Wnet się z trupów robią gury,
Słońce zaćmią z dymu chmury
Wtenczas zuchy rażnie krzykną
Hura! hura! i td.

Krew się leje kieby woda,
Jeden kona, drugi jęczy,
Póki nas Prus nie zamęczy
Dalej razem, — czasu szkoda!
Hura! hura! i td.

Tak sem bylo pod Kenigrecem w Bemenlandzie tj. w Czechach — O! bylibyśmy tych sakramenckich Prajsów na kwaśne jabłko zgnietli; ale to nieszczęście, żeśmy chcieli niby uciekać przez jeden most, ażeby oni za nami pośli. Ale ten brik był sem wązki — nie mogliśmy się pomieścić — i poturbowali nas te huncfoty... — Po takich śtrapacach wartałoby się napić.

Wystąpienie 16te

Ciż i Mosiek z flaszką.

Janek.

Richtig Moisie! a co gut śnaps — Moisie?

Mojsiek.

Extrafain z samego Widin, extrafain rosolis.

Marcin.

Ciekawym, jaka to wódka z rosołem?

Wojciech.

Nie potrzeba żadnej wódki — idź sobie Mośku!

Katarzyna.

Mój kumotrze, to pozwólcie, że się po kapeczce napijemy, to przecie nie gorzałka, ale likier słodki jak miód. Już to mój Janek wie, czem kogo uraczyć.

Janek.

Gib Mojsie — (Mojsiek leje) halt! do nich panie Adalbert. (pije)

Wojciech.

Ja nie piję, bom ślubował.

Katarzyna (bierze kieliszek)

No to ja wypije za zdrowie Janka i Zosia — do ciebie Zosiu! (pije) ach, jakie to rarytasy!

Zosia.

Pijcie zdrowi — ja nie pije!

Janek.

Was ist das? No, Marcin napij się!

Marcin.

Pij sobie sam.

Janek.

Co ty knefliku smiesz mnie, kaprala, konierować? (przyskakuje do niego) ja cię nauczę!

Marcin.

O ba! czy to tu karczma! żebyś burdy robił? szanuj dom poczciwy!

Katarzyną (staje w środku).

Daj spokój Janku, to głupi chłop i nic więcej! (do Mośka) Ot nie będą pili — idź Mośku!

Mosiek.

Ny, ja pójdzie, a gdzie pieniądzów? wyście mi już 5. ryńskich winni — zis di — jaka mądra?

Katarzyna.

Jakie 5 reńskich? czyś ty oszalał, żydzie? a zkądby się tyle nazbierało? tylkom parę razy po kieliszeczku wypiła tej śmierdzuchy (spluwa) a nie dałam ci psiawiaro, dwie kury, gęś i ćwiartkę ziemiaków — co?

Mojsiek.

Aj waj! jaka mi tantna, takie bagatele — cóż to? ani procentów jeszczeście mi nie dali; to wi miślicie, że za trochę ziemiaki można cały rok pić, ny! albo ja to kradnę, żebym darmo dawał wódki — hę?

Janek.

Geweg! Mosie, ich calen!

Mojsiek.

Nu! ja będę znowu czekać, a z czego mi zaplacicie? Dziś rano wypił pan wojak 3 śnapse, a' nie zapłacił — a moja surę przysziła te gwiazdki a to za darmo? hę? mię się należy 5 szustek — dajcież!

Wojciech.

Idź Mośku, oni ci zapłacą, ja ręczę za to.

Mojsiek.

Ny na wasze słowo, Panie Wojciechu, tobym cały rok borgował. Nie dacie nic biednemu żidkowi utargować, to prawda — ale ja Was i tak szanuję Panie Wojciechu, auf mane mues. — Ale chociaż na wesele waszej córki, to mi dacie co zarobić — ja sprowadzę piwów, winów bardzo przedni — co dobrze?

Wojciech.

Dobrze, dobrze — idźże już!

Mojsiek.

Adije Panie Wojciechu! — (do Zosi) klaniam pannie młodej — adije! A pan wojak niech odpruje te gwiazdki — to już nie zaplaci mej Surze. (odchodzi).

Wojciech.

Na co się to przyda okpiwać ludzi, kiedy prawda zawsze wyjdzie na wierzch jak oliwa. Oj Janku! nie tylko, żeś zapomniał, żeś jest Polakiem, aleś się jeszcze nauczył kłamać. O! ta przeklęta pycha i głupia duma!

Wystąpienie 17te.

Ciż i za sceną (parobcy i dziewczęta spiewają).

Spiew:

Oj! na dębie u Wojciecha
Bociek dzióbem kłapie,
Ten się chłopak nie oszuka
Kto Zosieńkę złapie.

Bo też to jest z niej dzieweczka
Ładna jak pszeniczka
Gospodarna i poczciwa
Oj będzie szczęśliwa!

(Muzyka przegrywa).

Wojciech.

Co to znaczy ta muzyka i śpiewki?

(Za sceną spiewają dalej)

Oj Wojciechu na twe lata
Już ci zięcia trzeba;
Z łaski Boga dość w komorze,
Wystarczy wam chleba.

Otwórzcie, prosimy, wrota
Jeźli jest ochota —
A dziś dla waszej dziewczyny
Sprawcie zaręczyny.

Wojciech (otwiera drzwi)

Parobcy i dziewczęta (wchodzą)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wojciech.

Na wieki wieków — Amen — Powiedźcie mi, moi kochani, co to wszystko znaczy?

Parobek.

Dowiedzieliśmy się, że Janek Wróbel dziś przepija do Waszej Zosienki, bo tak Wróblowa rozgadali po wsi.— Otóż wracamy z wesela od kołodzieja i wstąpiliśmy, aby starym zwyczajem z muzyką rękowiny obchodzić.

Wojciech.

Jeszczeć tam o tem nie było i mowy. Cóż Zosiu! poszłabyś ty za Janka Wróbla?

Staś.

Tatuniu! on się nazywa Johann Sperling.

Wojciech.

Daj spokój, malcze z tymi figlami.

Zosia (smutno)

Jakbyście kazali... cóż robić.

Wojciech.

Broń Boże, ja cię nie przyniewalam.

Zosia.

Mój Tatusiu, ja potem wam powiem.

Katarzyna.

Mów Zosiu teraz, nie wstydaj się, ot są chłopcy, dziewczęta i muzyka — zabawimy się jeszcze.

Janek.

Tobyś ty mnie nie chciała Zosiu?

Zosia (na stronie).

O mój Boże! cóż zrobić teraz! (obraca się do Janka) żebyś po naszemu mówił, żebyś nie ganił swego gniazda, nie pogardzał drugimi, tobym....

Janek.

Kogóż ja tu simfował? tylko Marcina, o niego ci chodzi?

Zosia.

A jużci, bo go lubię jak brata.

Wojciech (wesoło)

A cóż Zosiu, jakbym sobie życzył, żebyś poszła za Marcina?

(Zosia spuszcza głowę i zawstydza się).

Wojciech.

Pójdźno bliżej Marcinie! — (do Zosi) którego byś wolała Zosiu?

Zosia.

Prawda — że Janka bardzo pierwej lubiłam — ale teraz...

Wojciech.

Widzę ja, że przewrotność i złe nałogi Janka są tu przyczyną niechęci ku niemu. Poczciwy Marcin godzien ciebie.

A więc, moi chłopcy i dziewczęta, proszę was na niedzielę, zabawimy się uczciwie choć bez wódki na zaręczynach Zosi z Marcinkiem.

Marcin.

O mój złoty gospodarzu! (obejmuje go za kolana) — O moja kochana Zosiu! ledwo nie oszaleję z radości. (ściska potem wszystkich parobków).

Katarzyna.

To wy chyba żartujecie? — przecieżeście przyrzekli nieboszczykowi, że Zosię za Janka wydacie!

Wojciech.

Tak — przyrzekłem, kiedym widział, że chłopak dobry, a wy go-

spodarna. Teraz z Janka pędziwiatr, nicpoń! a Wy? aj nie mówmy o tem, słyszałem zresztą co Mosiek mówił.

(do parobków i dziewcząt zdziwionych.)

Diwno wam, moi kochani, co się stało? Janek Wróbel przy wojsku zmienił i serce i mowę — Marcinek — znacie go, poczciwy chłopak, kocha Boga i Ojczyznę — i wszystko, co nasze — będzie i mnie szanował, i Zosię kochał — z takiego dobry gospodarz, i sąsiad dobry — takich nam więcej trzeba. — Chwalił tu Janek niemieckie kraje, więc mu przypomnijmy, że i nasza Polska nie gorsza.

(Spiewają wszyscy prócz Katarzyny i Janka)

Spiew:

Ziemia nasza święta ziemia
Ojczyzna kochana,
Krwią i potem ojców naszych
Obficie skrapiana.

Darzy solą, chlebem darzy
Nietylko swe syny,
Lecz posyła swoje płody
I w obce krainy.

Kto nie pragnie sercem całem
Wolności ojczyzny,
Nie wart chleba z Polskiej roli
Ni dożyć siwizny!

Rozmaitości.

— *Uczciwy znalazca.* Dzienniki wiedeńskie donoszą, że dnia 13 grudnia wieczór za przybyciem do Wiednia kolei ze Lwowa dostrzegł p. Ignacy Löscher kupiec ze Stryja, że mu zginął pugilares, w którym znajdowało się w gotówce i w papierach różnych 34000 złr. Wraca strwożony do wagonu, gdy w tem zatrzymuje go żyd polski faktor i oddaje mu zgubione pieniądze. Kupiec wziął ze sobą do dorożki uczciwego znalazcę i obdarzył go 3000 złr.

— *Omyłka.* Służący oficera przyniósł razu jednego swemu panu buty jeden z długą, drugi z krótką cholewą. „A do djabła, czemu to przynosisz dwojakie buty?“ krzyknął oficer na niego „Proszę pana,“ odpowiedział służący spokojnie „ja też nie wiem, co się to zrobiło, ale co mnie najbardziej dziwi czego sobie wcale wytłumaczyć nie mogę, jest to, że w sieni jeszcze zupełnie taka sama para bótów stoi.“

— Poczta gołębia. Słyszeliście może kiedy o gołębiach używanych do przenoszenia listów z jednego miejsca na drugie odbyłe od siebie o kilka i kilkanaście mil. Takie poczty były dawniej używane dla rozrywki, a teraz we Francji gdzie to chciwy i okrótny Prusak niszczy kraj ten śliczny i zamożny, stały się takie poczty koniecznością, osobliwie w Paryżu, który Prusacy otoczyli wojskiem i wszelki związek z resztą kraju przerwali. Otóż z tego miasta wysyłają Francuzi różne listy do swych współobywateli tylko za po-

mocą balonów i takich wyuczonych gołębi.

Dzieje to się tak: wyuczają ludzie takie gołębie chowane w jednem np. mieście a potem przenoszą je do drugiego, z kąd puszczone odlatują do miejsca znanego urodzenia. Jeźli się więc im przywiąże jaką kartkę to przynoszą takową o mil kilkanaście nawet. W ostatnich czasach przyleciał taki listonosz skrzydlaty do Paryża pokrwawiony — niezawodnie ujrzeli go Prusacy lecącego i strzelali do biednego ptaka.

Złote ziarna.

Siągnąć trzeba do dziury, kto chce łowić raki,
Kto gorąco kąpany, prędko spłoszy ptaki.
Trzeba wprzody zgryść orzech, kto chce zażyć jądra
Dobra odwaga, ale żeby była mądra.

Choć orzeł orła rodzi, lew lwa — nie nowina,
Że często dzielny ojciec lichego ma syna.

Kto na swojem przestaje, ten cudzego nie pragnie i nikomu niczego zazdrościć nie będzie.

OD REDAKCYI.

Upraszamy szanownych prenumeratorów, którym pojedyńcze numera brakują, o spieszną reklamacyę, nieopłaconymi i niepieczętowanemi listami. Na adresie trza napisać: „Reklamacya“. Numerów pojedyńczych z pierwszego półrocza, z powodu zbyt małego nakładu poprzedniej redakcji, bardzo tylko mało mamy, niektóre numera brakują zupełnie. Dlatego wybaczą nam szan. prenumeratorowie jeżeli reklamy z I. półrocza uwzględniać nie możemy. Pozostałemi numerami chętnie służymy. Komplety I. półrocza także wyczerpane.

Spis rzeczy, tytnł i okładkę do tego półrocza, roześlemy z Nr. 1. następującego półrocza.

Pieniądze prenumeracyjne upraszamy przesyłać wprost do Redakcji pod adresą: „Redakcja „Dzwonka“ w sklepie p. Justiana ulica Krakowska.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.